

Sheng  
Keyi

# Tęczujący popiół

przełożyła Joanna Krenz



Państwowy  
Instytut  
Wydawniczy



JUBILEUSZ  
PAŃSTWOWEGO  
INSTYTUTU  
WYDAWNICZEGO  
1946–2021

75

## 1. NOWA CHOROBA

Kiedy wkraczało się w czarny jak smoła mózg, stopy zdawały się grzęznąć w szcurzych zwłokach. Strzępki rozgrzanych pajęczyn unosiły się w powietrzu. Śmierdziało niemiłosiernie. W pewnym momencie wdarła się do środka smuga światła, jak gdyby ktoś uruchomił projektor. Wspomnienia zaczęły nabierać kształtu. Z mgły wyłonił się kontur świątyni, potem żółte ściany, zielonkawe dachówki, czerwone kolumny. Żarzyły się kadzidła. Obraz był lekko rozchwiany, jakby nagrywany niewprawną ręką. Obiektyw kamery przybliżał się stopniowo. Widać już było szczegóły budowli, ornamenty na drzwiach i oknach, rzeźbione kwiaty, ptaki, ryby i owady. Na kwiecie piwonii przycupnął motyl, skrzydełka drżały mu leciutko. Odfruwając, zamienił się w nietoperza. Stop. Brak sygnału. Z oddali dobiegło cichutkie westchnienie, ciężkie od tułaczego znużenia i pyłu. Odgłos ten był jak bita droga biegnąca w bezkres. Odczuwało się pokusę, by podążyć za nim do tajemniczego źródła. Ale po chwili przycichł. Światło ponownie rozproszyło mroki, ukazała się sylwetka bodhisattwy, siedzącego na kwiecie lotosu. Pulchna twarz, ogromne uszy, podwójny podbródek. U jego stóp klęczeli ludzie, recytując modlitewne mantry. Bodhisattwa uśmiechnął się łagodnie, spoglądając na nich z góry. Na złotym obliczu pojawiły się łagodne zmarszczki. Wtedy jego ciało zaczęło się rozpływać, by w końcu zamienić się w ciało śmiertelnika płci męskiej.

Obudziłam się cała zlane potem. Wstałam, żeby zaparzyć herbatę i uspokoić nerwy. Pęczniejące w wodzie główki róż były jak otwarte rany. Wypiłam kilka łyków. Zrobiło mi się niedobrze. Francuski pisarz Proust, wpatrując się w filiżankę zaparzającej się herbaty lipowej, zobaczył niegdyś swoje rodzinne strony. Tymczasem ja w rozwijających się pączkach róż widziałam tylko wrzody. Różane wrzody, wrzodziejące róże. Nie ma chyba innej rzeczy na świecie, w której najszlachetniejsze piękno i najszkaradniejsza brzydota łącząby się ze sobą tak ściśle. Próbowałam znaleźć kilka przykładów, ale zabrakło mi weny. Kiedy atakuje metaforoza, człowiekowi odechciewa się wszystkiego. Bez metafory nie jestem w stanie zrobić kroku naprzód, wykrzesać z siebie choćby jednej myśli, podjąć jakiegokolwiek czynności. Jakby coś paraliżowało umysł. Można tak tkwić do białego rana, póki na horyzoncie nie zamajaczy świt i jutrzeńka nie rozproszy ołowianych chmur. Dzień strąca noc z nieba i przypiera kolanami do ziemi. Pod naporem myśli pęka wreszcie kokon pamięci. Rozrywa się parciany worek, z którego wysypuje się ziarno.

Metaforoza. Mówią, że to nowa choroba. W ośrodku odwykowym codziennie podają kroplówki i pigułki, od których mózg zamienia się w mętny staw. Słowa wymykają się jak ryby. Kiedy tylko udaje mi się wyłowić jakiś mięsisty okaz, zwiększają mi dawkę leku, aż w końcu nie jestem w stanie sklecić zdania. Twierdzą, że leczenie z metaforozy to długotrwały proces. W pierwszej kolejności należy wyeliminować temat metafory, wówczas jej nośnik zaniknie samoistnie, nie mając jak zakotwiczyć się w umyśle. Tak oto metafora zostaje całkowicie wykorzeniona.

Oczy zalewa mi na przemian światło i mrok. Pusty pokój. Z trzech stron nieustępliwe ściany, z czwartej wolność – otulone mgłą górskie szczyty, feeria obłoków na niebie, a pod stopami przepaść. Może to obraz więzienia z *Gry o tron*, omyłkowo wszczepiony do mojej pamięci. Wiatr i chmury pociągają, uwodzą, nęcą. Kilka razy o mało nie wyfrunęłam.

W dzieciństwie nie opowiadano mi bajek, nie bawiłam się lalkami. Mama od najmłodszych lat uczyła mnie, czym jest prawdziwe życie. Czytywała mi do poduszki Lu Xuna, a kiedy trochę podrosłam, nakłaniała do samodzielnej lektury. „Świat tonie w mroku” – ostrzegał Lu Xun, mając na myśli ciemnotę społeczeństwa i biały terror. Trudno powiedzieć, żebym jakoś szczególnie lubiła Lu Xuna. Raczej pociągały mnie jego metafory. Początków mojej metaforozy należy zatem upatrywać w pierwszych latach mojego życia. Obecnie znajduje się już ona w bardzo zaawansowanym stadium.

Mama opowiadała mi też historie, których nie było w książkach. Miała ich w zanadrzu całe mnóstwo, nigdy się nie powtarzały. Kiedy tylko wspominała o tacie, w jej oczach pojawiały się podziw i czułość. Zebrała wszystkie jego wiersze, których nie pozwolono wydać, i złożyła w tomik. Rozdała tym, którzy jej zdaniem potrafili docenić poezję. A potem było to włamanie. Splądrowany dom, spalone rękopisy ojca. Żeby się nie ważyła. Ale mama była na to przygotowana, dawno zapisała wszystko głęboko w pamięci. Uczyla mnie, wiersz po wierszu. Tuż przed śmiercią chwyciła mnie za rękę, przykazując, bym nie uroniła żadnego. „To jedyny ślad po twoim tacie”. Później, za każdym razem, gdy pisałam artykuł, wybierałam kilka linijek, które najbardziej

pasowały do treści, i umieszczałam jako motto, żeby wyglądały jak mądrość z klasycznych ksiąg. Imię mojego ojca zatrzaśnięte zostało w czarnej skrzynce, ale metafory z jego wierszy są wszędzie. Zmieniła się sytuacja, zmienił się kontekst. Nie znając tamtych czasów, nie sposób rozszyfrować obrazów, a jednak – choć oderwane od żywej tkanki doświadczenia – wersy te krążą po świecie i nadal niosą jakieś dobro.

Mama często opowiadała mi o burzy. O tym, jak przed nawałnicą gęstniejące chmury napierają na ziemię i jak w ich cieniu ziemia zmienia kolor. Odziedziczyłam po niej filozoficzny gen. Różnica między nami polegała na tym, że ona, zamknięta w jajku historii, przebiła skorupkę i wyglądała na zewnątrz, ja zaś znalazłam się na zewnątrz i zerkam do środka. Każda z nas odbierała inne bodźce i rejestrowała inne obrazy. Mama usiłowała nakłonić mnie, żebym wślizgnęła się do jajka, ale nie było tam już dla mnie miejsca. Po jej śmierci niechęć, którą do niej żywiłam za tę oschłość i surowość wobec mnie, przerodziła się w poczucie winy. Byłam na granicy załamania, ale na szczęście dość szybko udało mi się stanąć na nogi. Kiedy podchodziłam do lustra, widziałam w nim zamyśloną twarz. Twarz osoby obojętnej na sprawy tego świata, żyjącej ideałami, choć nie do końca wiedzącej, jakimi – w każdym razie nieprzystającymi do rzeczywistości. Twarz, jaką życzyłaby sobie zapewne widzieć moja matka.

Głowa puchnie od wspomnień. Duchy przeszłości tłoczą się niczym stado zwierząt, usiłując się wydostać przez uchylone drzwi pamięci.

## 2. POSZUKIWANIA

Zjawiłam się tu tylko dlatego, że chciałam zobaczyć, co go zatrzymało. Nagle przestał się odzywać. Przepadł jak kamień w wodę. Dawniej zdarzało mu się przesiadywać przed płótnem godzinami, jakby dostał zaparcia. Pomyślałam sobie, a co tam, nie będę się przejmować, zerwę zaręczyny, przestaniemy się widywać, wybiorę sobie innego, nie gorszego, spośród absztyfikantów. Ale w szpitalu od wpływem lekarstw coś zaczęło się we mnie zmieniać. Nawet króciutki tekst zawsze kończy się poważną kropką, tym bardziej skomplikowana relacja międzyludzka powinna mieć wyraźny koniec.

Przenocowałem w zajeździe, by rankiem wyruszyć na przejażdżkę rowerową po Ewangeli. Na tarasach ryżowych roilo się od ludzi w słomkowych kapeluszach, z podciągniętymi nogawkami, ich roześmiane głosy falowały na powierzchni wody. Na miedzę sfrunęła czapla, złożyła skrzydła i zaczęła przechadzać się niespiesznie wzdłuż pola. Stado mniejszych ptaków uniosło się do lotu, po czym powoli zniknęło w górach. Szeleścił bambusowy las, wiosenne pędy właśnie zrzuciły brązowe kubraczki, odsłaniając nagie szkieleciki. To tu, to tam wyrastały krzaczki róży wielokwiatowej, w kielichach kwiatów zanurzały się pszczoły, drząc jak kochankowie przy namiętym pocałunku po długiej rozłące...